

ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI.

Bytom G.-Ś., 9-go Grudnia 1897.

Nr. 49.

„Światło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi 1 markę (75 cent). — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na G. Ślązku (Beuthen O.-S.) — OGŁOSZENIA przyjmują się za opłatą 15 fen. od 3-linowego wiersza drobnym drukiem.

MODLITWA WYSLUCHANA.

WSPOMNIENIE Z KRAKOWA.

Sierota, wdowa, ciężko strapiona
Do Ciebie Matko wznosi ramiona.
Litości, łaski, błaga ze łzami:
O, święta Maryo, módl się za nami!...

Na Maryackiej wieży w Krakowie siódmą wytrąbiono godzinę. Jeszcze trębacz nie dokończył przegrywki, gdy u stóp świątyni nowa zadźwięczała jakoby pobudka. Na przyniesionej ławeczce opodal drzwi środkowych usiadł jakiś człowiek i rzewnie wytrębywał hejnały (pieśni do N. Panny). Na ten odgłos, zewsząd gromadki ludu schodzić się zaczęły, w okamgnieniu ustawiono stoliczek, zapalono na nim świecę, ułożono książki, we framudze kościelnej obraz Boga-Rodzicy rześnistem zajaśniał światłem, zamigotały różnokolorowe lampki, a wśród nich pstrzyły się wieńce i wonne bukiety, dar dzieci dla św. Matki. Na placu przedkościelnym coraz to ludniej, trąbka zwołuje ciągle, płynie pieśń pobożna po mieście i coraz to z innej strony pospieszają ludzie. — Po ciężkiej pracy na odpoczynek i trosk osłodę, dążą do obrazu Tej, co już tyle skarg wysłuchała, i tyle pociech udzieliła: na twardym bruku, koronie padają na kolana, i rzewne nuć pienia, i trąbka nie ustaje łącząc się ciągle z głosami ludu. Już dwukrotnie z wieży otrąbiono godzinę, od Sławkowskiej ulicy nadbiegła młoda dziewczyna i padłszy na kolana wzniosła ręce do nieba, a twarz jej zalała się łzami. Chciała śpiewać z innymi »Zdro-

waś Marya« ale tony znanej pieśni przytłumiły łkania; tylko więc niemą boleścią zanosila modły do bolesnej Matki, i doznała pocieszenia, bo zrozumiała ją ta Najświętsza, która sama tyle łez wylała na ziemi!

Biedna owa dziewczynka Marysia, miała tylko na świecie dobrą pocziwą matkę, która wychowała ją starannie i nauczyła miłować Boga, ludzi i cnotę; straciła męża, gdy córka była jeszcze w kolebce, a z nim dobrobyt cały, gdyż będąc dobrym cieślą, zarabiał dużo i nigdy przy nim niedostatku nie znała. Niestety, spadł z rusztowania przy budowie domu, nie zabił się na miejscu, ale chorował ciężko lat kilka. Dobra żona chciała go pilnować sama, nie żałowała niczego, poszła ubierana sumka na leczenie; powoli ubywało gracików, sprzętów, które szły na Kaźmierz (ulica żydowska w Krakowie), bo nie stało już w domu ani grosza.

Mimo tych starań, podobało się Bogu doświadczyć biedną kobietę, po długich cierpieniach cieśla poszedł na wieczny spoczynek. — Zrozpaczona sprzedała wszystko, co pozostało na pogrzeb męża, a tuląc małą dziecinę nie rozumiejącą jeszcze co to nieszczęście i strata, poprzysięgła na grobie ukochanego, że dla niej tylko żyć będzie. I dotrzymała przysięgi; bo odtąd poświęciła się zupełnie dla swojej Marysienki, pracowała ciężko bez wytchnienia,

ale dziecku nie zbywało na niczem; nauczyła ją wszystkiego, co sama umiała to jest być dobrą chrześcianką; potem posyłała ją do szkoły, następnie na naukę szycia, i teraz 16 letnia już Marysia pomagała matce, nie dawała jej tak jak dawniej pracować, była jej pociechą i szczęściem.

Ale zwątlone latami cierpień i mozołów siły, coraz to ustawały i wreszcie pewnego rana biedna matka, mimo wysilen, już powstać z łoża nie mogła, czując w całym ciele niemoc i okropne reumatyczne bóle; nie dozwoliła jednak córce wezwać doktora, ufna w łaskę Boga mówiła: »Niech się stanie, jak Pan zechce«. Daremne były błagania wystraszonej Marysi, i teraz właśnie, gdy trąbka zwoływała do modlitwy, a Marysia wróciwszy od roboty, pieściła matkę i czułem ją otaczała staraniami, powtarzając usilne prośby, ta odrzekła:

— O, nie moje dziecko! nas nie stać na leczenie, popadłybyśmy znowu w nędzę, i cóżbyś ty poczęła nieboga, gdyby potem koniec na mnie przyszedł? Oto słyszysz trabkę, śpiewy przed Panną Maryą, idź tam lepiej, dziewczeczko moja, i pomódl się za mnie, proś Najświętszej Matki, to się ulituje nad sierotą...

Usłyszawszy to Marysia, chwyciła chustkę i pędem puściła się Sławkowską ulicą. Wkrótce ujrano ją płaczącą wśród śpiewających; przechodnie mijając tłum pobożny, wstrzymywali się zasyłając choć chwilowy hołd do nieba. Jeden z nich, okryty już siwizną, spostrzegł płaczącą i nachyliwszy się do niej, zapytał łagodnie o powód tej żalności. Głosem przerywanym opowiedziała mu o ciężkiej chorobie matki.

— Moje dziecko, — zawołał — znać Matka Boża wysłuchała twej modlitwy,

to ja jestem właśnie doktorem; chodź ze mną do matki. Nie wiem, czy zdolam ją wyleczyć, ale spróbuję w imię Maryi, i Ona mi dopomoże.

Naraz oschły łzy z oczów Marysi; powstała rozpromieniona nadzieją i na skrzywionych usteczkach pojawił się uśmiech. Chwyciwszy rękę doktora, ucałowała ją, spojrzała raz jeszcze na obraz Maryi i pociągnęła go za sobą. Zaledwie zdążył za spieszącą dziewczyną; przypominać jej musiał, iż w jego wieku tak biegać nie można. Przybyli wreszcie do małego domku na Sławkowskiej ulicy. Lekarz zbadawszy chorą, uśmiechnął się, obiecując powrót do zdrowia przy staraniach i cierpliwości. Nadto przyrzekł swą radę i opiekę dodając, że nie potrzebują wydawać na nic, bo przyśle wszystko, co potrzeba i dwa razy dziennie odwiedzać będzie chorą. Rozczulone zaczęły mu dziękować, ale lekarz zmarszczył się, wołając:

— Proszę, nie dziękujcie mi, tylko Maryi, bo ona to zesłała mnie do was; nie miałem ochoty dziś wcale już wychodzić z domu; ale gdym usłyszał wieczorne pieśni, coś mnie popychało w stronę kościoła, i tam zobaczywszy płaczącą, postanowiłem pocieszyć ją w smutku.

Dotrzymał słowa zacny lekarz, dołożył starań, nie żałował zachodu i kosztów, i w imię Maryi postawił na nogi gasnącą już prawie kobietę.

Domyślicie się łatwo, że pierwsze jej wyjście było do świątyni Panny Maryi, i teraz już wraz z córką łączy dziękczynne pienia z pobożnymi, a uszczęśliwiona Marysia świeże zawsze kwiaty zaściela pod stopy obrazu, i błaga o pomyślność i szczęście swego dobroczyńcy, bo modlitwa za niego może tylko wynagrodzić jego dobroć i poświęcenie.



WIDZENIE PUSTELNIKA.

LEGENDA.

I.

Kiedys przed laty pustelnik stary
Wrócił wieczorem do swej pieczary:
Wykrzesał ognia, zatlil pochodnię,
Kląkł na kamieniu mówić pacierze;
A płomień lampy z modlitwą zgodnie
Wprost ku niebiosom kierunek bierze.
Gdy pergaminu wolumen szasta,
Gdy się przewraca karta Psalterza,
Płomień się chysta, zwęża, rozszerza,
I ludzka postać z knota wyrasta.
A wosk i smoła w knocie się skwarzą,
Że zda się słyszysz jęki czyscowe;
Knot wśród płómienia wziął kształty nowe
Z ludzką postacią i z ludzką twarzą:
Łuk ma przez plecy, sokoła w dłoni,
Głowę schyloną, plecy barczyste,
A trąbką zda się na łowy dzwoni:
O miserere! o salve, Christe!

II.

Święty pustelnik zgadnął te dziwy,
Że jęczy w czyscu jakiś myśliwy.
Może nie bacząc klątwy kościelnej,
Ufny, że nic się złego nie stanie,
W dzień uroczysty, lub w dzień niedzielny
Ruszył do lasu na polowanie;
A ceniąc rozkosz jednogodzinną,
Cały zajęty własną uciechą,
Rozbudził z drzemki borowe echo,
Coby w niedzielę milczeć powinno.
Dla wybawienia biednej istoty
Pustelnik ślubów poczynił wiele:
O chlebie z wodą suszyć soboty
I leżeć krzyżem w każdą niedzielę.
Lecz postać strzelca z knotu nie znika,
Wiją się przy niej kłęby ogniste,
Skwierczy i jęczy muzyka dzika:
O miserere o salve, Christe!

III.

Może zabywszy myśliwskie prawa,
Sięgnął na własność cudzego mienia,
Gdy go zawzięta gnała oblawa,
W puszczy królewskiej zabił jelenia.
Może gdzie spotkał dziewicę młodą

Wśród gęstej puszczy i samą jedną;
Nieskromne oczy tak ją przeboda,
Że zarumienił wieśniaczkę biedną.
Może gdy w polu strzelec się błąka,
Pusta go chętka morderstwa bierze:
Puścił sokoła w lot na skowronka,
Kiedy ten Panu śpiewał pacierze.
Więc nowe śluby — gorącej, godniej,
Czyni pobożny duch pustelnika;
Ale nie trafił na rodzaj zbrodni,
Bo postać strzelca z knota nie znika.
Wciąż się w płomieniu widmo unosi,
Wiją się przy niem obłoczki mgliste,
A pisk bolesny ratunku prosi:
O miserere! o salve, Christe!

IV.

Czy w nierozmyślnym zapale może
Końmi i psiarnią — zwyczajnie młodzież —
Tratował biednych rolników zboże,
Lny, z których kmiotek miałby swą odzież?...
Knot się pochylił, — pustelnik rzecze:
— »Dosyc ci, dosyc cierpieć tak srodze!
»Przebacz, o Boże! winy człowiecze,
»A szkodę, pozwól, ja wynagrodzę!
»Z wioski do wioski, z młyňa do młyňa,
»Pójdę żebrować po garstce żyta,
»By co rok jedna wdowia rodzina
»Czarnego chleba miała do syta.
»Z chaty do chaty, kędy tką krosna,
»Pójdę żebrować o płótna szmatek,
»Ażeby ludzi ręka litosna
»Okryła troje sierocych dzieciak.
»Bóg winowajcom swą litość dawa,
»Królowie winę przebaczyć mogą;
»Ale przebaczyć nikt nie ma prawa
»Temu, kto ludzkość skrzywdził ubogą.
»Jedyna rada: o ile siły,
»Nagrodzić krzywdę biednej chudobie!«
Tak mówił starzec, — a knot pochyły
Padł na kolana w strzelca osobie.
I płomień parsknął z środka pochodni,
Wzniosły się k'niebu światła gwiazdziste;
Grzesznik rozgrzeszon ze swojej zbrodni.
Ojczy ubogich! chwała Ci, Chryste!

Ludwik Kondratowicz.

STAROSTA.

Od czasów najdawniejszych Polacy
wyrazem tym mianowali przewodcę,
zwierzchnika drużyny i osobę najstarszą
urzędem w danej miejscowości. Waclaw,

król polski i czeski, ustanawia starostę
nad dzielnicą oderwaną od Polski. Ka-
zimierza Wielkiego zastępuje w sądach
królewskich starosta, ale tylko w Wiel-

kopolsce. Odtąd mnożą się starostowie jako namiestnicy królewscy, sprawując sądy po grodach, zbierając podatki dla króla. Gdy kasztelani i wojewodowie przywodzą zbrojnej szlachcie w polu, starostowie są jakby gubernatorami i komendantami miast i grodów warownych, powierzonych ich sądownictwu i obronie. Ludwik, król polski i węgierski, przyrzekł Polakom, że nie będzie cudzoziemcom oddawał pewnych starostw i grodów sądowych, a mianowicie w wyraźnie wykazanych miejscowościach, między którymi są znaczniejsze miasta jak np. Kraków, Biecz, Sącz, Wiślica, Wojnicz, Sandomierz, Lublin, Radom, Łęczyca, Sieradz, Piotrków, Brześć kujawski, Kruszwica, Poznań, Kalisz i inne.

Jak wiadomo, panujący książęta i królowie piastowscy uważali się z początku za właścicieli całego obszaru ziemi, wód i lasów objętych granicami ich państwa, a wszystek lud wiejski stanowił kmieci i służbę panującego. Ale już bardzo wcześniej powstawała u nas własność prywatna czyli szlachecka, tym sposobem, że panujący rozdawali chętnie lub sprzedawali ziemię rycerstwu, które stanowiło ich siłę i obronę granic i niepodległości kraju. W dobie piastowskiej z każdym rokiem własności prywatnej przybywa, a tem samym obszar królewski i książęcy zmniejsza się. Gdy pierwotnie własność rycerska czyli szlachecka stanowiła niby wyspy wśród morza książęcego, to później w stosunku odwrotnym dobra książęce i królewskie były wyspami wśród obszarów ziemi rycerstwa i duchowieństwa. W tych to dobrach zatrzymanych stale na własność panującego, królowie i książęta mieli swoich namiestników czyli rządców, których jako zwierzchników nazywano starostami, a od tej ich nazwy dobra i grody powierzone im starostwami.

Starosta jest nie tylko obrońcą zamku królewskiego, lecz nadto stróżem ciszy i spokoju w granicach swego starostwa, gdzie powinien powściągać gwałty, karać kradzieże i rozboje. W tych obrębach władza jego rozciąga się nie tylko

na chłopów i mieszczan, ale i na szlachtę. Do niego należy prawo miecza, wykonanie wszelkich wyroków kościelnych i świeckich. Starosta czuwa nad pożytkami i dochodami króla, czynszami i poborami od mieszczan i kmieci.

Starosta krakowski posiadał najobszerniejszą sądowniczą władzę, tylko czuwanie nad dochodami króla do niego nie należało. Ponieważ sądownictwo należało do panujących, oczywiście więc ich starostowie czyli namiestnicy byli zarazem sędziami w ich imieniu. Gdzie były miejscowości z natury obronne, zwłaszcza strome góry i pagórki, otoczone wodą lub bagnem, tam zakładano warowne zamki czyli grody, a przy nich zwykle powstawały miasta, więc i sądy, które nazywano grodzkimi. Stąd, jak pisze Skrzetuski w »Prawie politycznym narodu polskiego,« »grodzki starosta sądy grodzkie sprawował, bezpieczeństwa w starostwie swoim pilnował, zamku w całości przestrzegał.« W miarę więc tego, czy w starostwie był gród i sądownictwo, lub nie było go, starostowie byli grodowi lub niegrodowi, tak jak starostwa grodowe i niegrodowe.

Starosta niegrodowy nie miał władzy sądowej, był po prostu rządcą dóbr królewskich, odpowiedzialnym tylko za wszelkie szkody w stadach i gospodarstwie. Starostwa niegrodowe były wogóle nowsze, niż grodowe, a to dla tego, że powstawały z nowo zakładanych folwarków. Starostwa grodowe nadawały wyższą godność, ale zato niegrodowe były korzystniejsze materyalnie. W ogóle na utrzymanie starostów płynęły następujące źródła dochodu: 1) dziesiąta część wpływów pieniężnych, 2) trzeci snop wytrącając zasiew, 3) dziesiąta ryba przy spuście stawów, 4) z dochodu sądowego od kopy 3 grosze, 5) 12 groszy od dziewczki idącej zamąż do innej wsi, 6) od naznaczenia przysięgi dwa grosze; grzywny za psucie miedz granicznych i t. d.

Na sejmach postanowiono, że starostwa mają być tylko wynagrodzeniem za zasługi względem kraju i zaczęto je zwać chlebem dobrze zasłużonych (pa-

nis bene merentium). Zasada była święta, ale ułomna natura ludzka spacyła jej wykonanie. Starostami zostawali nie zawsze zasłużeni, ale zwykle najmożniejsi. Starosta z dóbr sobie odanych obowiązany był płacić do skarbu część czwartą dochodu czyli tak zwaną kwartę, na utrzymanie wojska Rzeczypospolitej. Zresztą był panem prawie dziedzicznym, bo prawo zwane Jus communitativum dozwalało wdowie starosty zatrzymać starostwo na dożywocie.

Dla wynalezienia kwarty, sporządzano bardzo szczegółowe i dokładne opisy starostw czyli odbywano tak zwane lustracje, a mianowicie w latach 1569, 1616, 1660, 1765 i 1789. Zygmunt III wszystkie królewszczyzny podzielił na dwie kategorie, t. j. na starostwa do rozdawania i na ekonomie czyli dobra stołowe, przeznaczone na wyłączny dochód króla. Starostowie administrowali dobra, jak się zwykle administruje pań-

stwowa cudza i czasowa własność. To też sejm roku 1774 postanowił wydzierżawić starostwa prawem emfiteutycznym na lat 50, a starostów grodowych czyli sądowych obierać kazano. Sejm zaś czteroletni zniósł zupełnie sądownictwo starościńskie. Starosta żmudzki, tak nazywał się urzędownie i powszechnie wojewoda księstwa żmudzkiego. Starosta w górnictwie czyli żupach, ten który czyni sprawiedliwość i baczy nad bezpieczeństwem kopalni. W mniejszych kopalniach był tylko podstarosta. Starosta bartny był sędzią bartników. Starosta na Wiśle, oznaczał starszego flisa. Po upadku Polski tytuł starostów dawano jeszcze tym, którzy posiadali dobra starościńskie lub wieś, gdzie odbywały się dawniej sądy starościńskie. Fryderyk hr. Skarbek w najlepszej swojej powieści, zatytułowanej »Pan Starosta«, przedstawił nam piękny obraz dawnego prawego obywatela, tak jak Krasicki »Pana Podstolego«.



HISTORIA CZOKOLADY.

Gdy Hiszpanie roku 1519 opanowali Meksyk, zastali w tem starem państwie dziwną monetę w ogólnem użyciu. Były to podłużne nasiona pewnego drzewa, służące tak samo jak kawałki cyny i pieńki piór gęsiich złotym pyłem napelnione, jako zdawkowa moneta w drobnym handlu. Tysiąc tych ziarn miało mniej więcej w niemieckich pieniądzech 2 marki 75 fenygów wartości. Dzisiaj używają ich zamiast monety z koprowiny w państwie Costarica, Nicaragua i na San Salvador.

Pokazano Hiszpanom drzewo, wydające owe nasienie. W dawnych już bardzo czasach zostało ono sprowadzone z gorących stron południowej Ameryki, gdzie rośnie dziko. Jest wysokie 10 do 15 metrów, szerokie trzydzieści centymetrów i odznacza się owocami podobnymi do dziesięciokątnej czerwono-żółtej podłużnie zakończonej cytryny.

W rozłupanym owocu pełnym gęstego, kwaskowego płynu, leżą w rzędach ściśnięte ziarnka nasion po 25 do 40 a nawet do 60 w jednym. Dziko rosnące te drzewa wydawały owoc tylko raz do roku, w czasie od Lutego do Maja; uszlachetnione rodziły w roku dwa razy. Drugi zbiór odbywał się w Sierpniu i Wrześniu. Zebrany owoc równie jak drzewo nazywano szkoko lub kokovi czyli kakao. Umieszczano je w wielkich drewnianych naczyniach, na pięć dni, aby przez ten czas fermentowało. Następnie suszono je w słońcu lub na ogniu. Albo zakopywano je w ziemię i czekano, aż ów kleisty płyn przez gnienie nie oddzielił się z nasienia. W tym drugim wypadku otrzymywano najlepsze prażone kakao.

Jednakże nietylko jako drobną monetę, lecz także do napoju używali Meksykanie tych ziarn już za najdawniej-

szych czasów. Rozcierane na czerwono-bronзовый proszek przechowywano na potrzeby domowe i spożywano ugotowane we wodzie. Czasem słodzili napój ten miodem lub korzeniami. Uboższy lud mięszał go z kukurydzową mąką z dodaniem meksykańskiego pieprzu. Płyn ten był narodowym napojem meksykańskim, a w połączeniu z kleistą zawartością owocu, służył jako lekarstwo przeciw bieguncce. Kaszel leczyli dymem z kakao, a olej, który z niego wyciskali, używali jako bielidło.

Meksykianie nazywali ów napój szokolade, mieszkańcy Antyllów kakawate, a Europejczycy w swych pierwszych opisach szokolatum, szukulate, szolath, jokolada, sukkolata i sokolade. Nazwa ta jest złożona ze staro-meksykańskiego określenia drzewa, szoko i latl, woda. Hiszpanie zauważyli też, że Meksykianie przy uroczystościach i wielkich biesiadach, pili czekoladę na zimno. Wsypywali proszek kakao do zimnej wody, zmieszali mocno i zbierali pianę, następnie do pozostałej wody dodawszy coś podobnego do cukru, znowu ten płyn do piany wlewali. Napój ten miał być tak oziębiającym, że mało kto mógł go pić.

Z początku nie podobał się wcale Hiszpanom napój narodowy meksykański. W roku 1520 wysłali gotową, twardą czekoladę do Hiszpanii, gdzie ten nowy dziwny artykuł spożywczy bardzo ludziom zasmakował. Sprowadzali też zaraz więcej kakao i zakładali fabryki czekolady. Do ulepszenia fabrykacji kaka'a przyczynił się bardzo indyjski cukier trzcinowy, który właśnie wówczas w coraz większe wchodził użycie, a potem także korzystna przymieszka niektórych korzeni.

Podług receptu pewnego hiszpańskiego golibrody Antoniego de Ledesma, z roku 1644 składała się dobra czekolada z następujących części: 100 ziarenek kakaowych, 1 i pół funta cukru, 14 gramów pieprzu meksykańskiego, 1 łąt gwoździaków, 3 kawałki wanilii, 3 kwintliki anyżu i garść arnoty do zafarbowania.

W krótkim czasie rozpowszechniła się czekolada tak w Hiszpanii i Portugalii, jak w samym Meksyku. Podobno Hiszpanie tak ją lubili, że woleli oszczędzać na ubiorach i innych potrzebnych rzeczach, byle tylko przynajmniej dwa lub trzy razy dziennie napić się czekolady, która do dzisiaj jest u nich, również jak w Meksyku i we wszystkich kreolskich państwach amerykańskich, narodowym napojem, podczas gdy w Niemczech, Austrii, Anglii i Belgii a nawet we Francji i Włoszech zalicza się do zbyt kosztownych napojów. We Włoszech zaprowadził fabrykację czekolady 1606 roku Antonio Carletti z Florencji, który poznał ją był we wschodnich Indyach. W skutek silniejszego prażenia i większej ilości korzeni jest włoska czekolada więcej gorzką i mocniejszą aniżeli hiszpańska, która nie tak palona, posiada mączki więcej i łagodniejszy ma smak. Do Francji dostała się czekolada z Hiszpanii, może już przez Annę Austriaczkę, żonę Ludwika XIII-go, ale dopiero za Ludwika XIV-go zaczęto jej powszechnie używać. Mnisi hiszpańscy obdarowywali swych zakonnych braci francuzkich czekoladą w pudełeczkach w kształcie tabliczek lub kulek. Tym sposobem poznali Francuzi, dotąd dla nich obcy produkt, polubili go i już z początkiem 18-go stulecia, wyrabiali we własnych fabrykach kakao, sprowadzane z francuzkich kolonii. We wyrobie czekolady Francuzi szybko doszli do wielkiej doskonałości. Pod koniec osiemnastego wieku zasłynęła czekolada paryska jako najlepsza na całym świecie.

W roku 1666 w »Journal des Sçavans« ukazała się rozprawa Franciszkanina, ks. kardynała Bancratti, który powątpiewał czy powinno się pić czekoladę w czasie postnym; tenże głosił, że jest ona zbyt mocnym pożywieniem, dzięki temu, że zawiera 25 procent theobrominu, który ze wszystkich roślinnych substancji posiada najwięcej azotu. Gdy w Anglii roku 1657 zaczęto wyrabiać czekoladę, pewien uczonec, Stubbe, napisał że w jednej uncji kaka'a więcej znajduje się pożywnych części,

niżeli w całym świecie wołowiny. Linneusz nazywał czekoladę w botanice Theobrama, pożywienie bogów.

Z powodu takiego pojęcia o czekoladzie, przypisywano jej też wielkie lecznicze znaczenie, szczególnie jako środek przeciw suchotom. Najlepiej miało skutkować kakao ugotowane na wodzie, z mąką kukurydzową albo na mleku z jajami. Bontekoe, lekarz wielkiego kurfirsa brandenburskiego, sławiąc rozliczne, cudowne skutki czekolady, w swoich pismach między innymi przykładami opowiada, że pewien suchotnik uczuł wielki smak na czekoladę. Dawano mu ją kilka razy dziennie, a jego żona piła dla towarzystwa także. I cóż się stało? Oto ów człowiek wskazany na śmierć, stał się zupełnie zdrowym a rodzina jego powiększyła się trojgiem synów.

Także na osłabione i przeziębione żołądki, na piersiowe choroby, kaszel, »wzmocnienie głowy i usunięcie zawrotu« przepisywano czekoladę.

W Niemczech, wyżej wspomniany Bontekoe przyczynił się przez pisma, że czekolada pozyskała wielu przyjaciół. W pierwszej książce skarży się, że nie może znaleźć między żyjącymi nikogo, któryby go nauczył po zapachu, po smaku lub za pomocą jakiego innego środka, rozróżnić prawdziwą czekoladę od fałszowanej. Bo już wtenczas fałszowano ją, mieszając z paloną mąką zwyczajną, grochową, kartoflaną lub ryżową, jak dzisiaj jeszcze się dzieje w złych fabrykach. W ogóle za dobrą uchodziła wtenczas czekolada, która była niezbyt słodką i niezbyt gorzką, bez smaku korzennego, z przyjemnym zapachem, twarda i sucha.

Obecnie Hiszpania, Włochy i Francja spotrzebowują najwięcej kakao, którego wewożą rocznie do Europy za 150 milionów. Pochodzi ono głównie z Australii i Meksyka, lecz także w Guatemali, Guajanie, Venezueli, Caracas jako i w Afryce i Azji hodują drzewo kaka. Najlepszy gatunek, nadzwyczaj smaczny, małe, prawie żółto-złote kakao Socomusko, prawie wcale do Europy nie dochodzi, równie jak małe kakao z Esmeraldy. Najdroższym gatunkiem w handlu europejskim jest Caracaskakao, które od samego początku uchodziło za najlepsze. Najwięcej używają w Europie taniego kakao, zwanego Guajaquil. Oprócz tego jeszcze kakao z Puerto Cuballo i Maracaibo.

Czekolady zdrowia, są bez korzeni. Zdawna znany wpływ zbawienny czekolady na choroby płuc spotęgowano jeszcze, wyrabiając mieszaną czekoladę, która okazuje się znakomitem pożywieniem dla osłabionych ludzi. Doskonale działa także na piersiowo chorych islandzka mchowa czekolada, składająca się ze ziarenek kakao, cukru, czystego islandzkiego mchu i nieco koślaszka.

We wszystkich cywilizowanych krajach, w których czekolada jest tylko luksusowym napojem, używają jej więcej do jedzenia, niż do picia. Jak w tym kierunku zaprowadzają ciągle ulepszenia, jakimi odznaczają się pomysłami, świadczą wystawy okien składów wielkomiejskich, szczególnie około Świąt Bożego Narodzenia lub Wielkanocy.

Zamiast napoju z czekolady ustala się u nas coraz więcej używanie odtłuszczonego kakao, które zastępuje herbatę i kawę, górując nad niemi swą pożywnością.

Jak ustroić choinkę na gwiazdkę?

(Dokończenie.)

Ładnie przedstawia się także korszyczek wiszący, jaki figura 7 wyobraża. Wyrabia go się tak: Wyrysować na kolorowym kartonie, czyli szty-

wnym papierze sześciokąt o średnicy 6 cm. i wyciąć tak jak pokazuje fig. 7a. W każdym rogu naciąć równo i te sześć części nagiąć do środka, oblepić

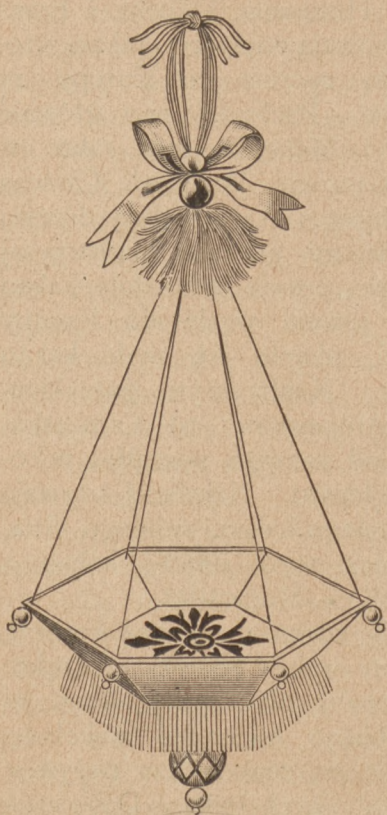


Figura 7.

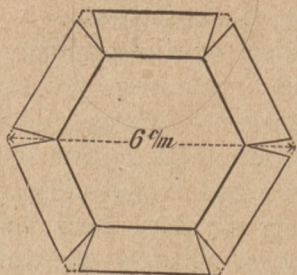


Figura 7 a.



Figura 7 c.



Figura 8.

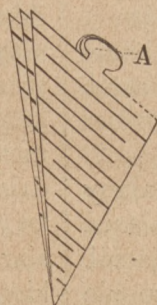


Figura 8 a.



Figura 7 b.

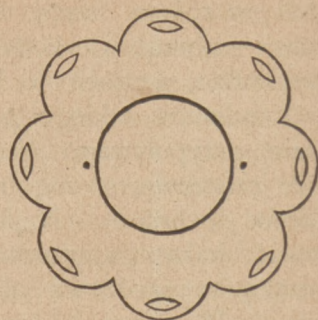


Figura 8 b.

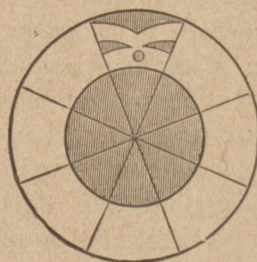


Figura 8 c.

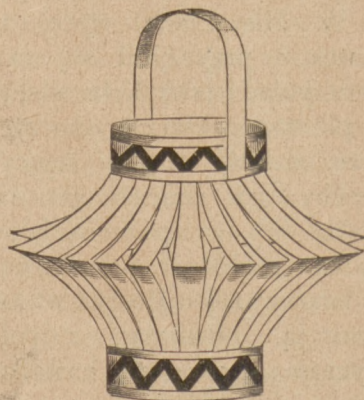


Figura 9.

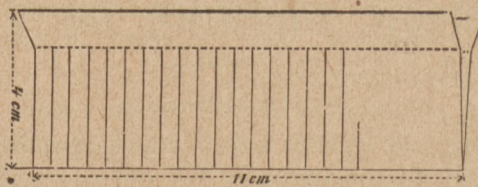


Figura 9 a.

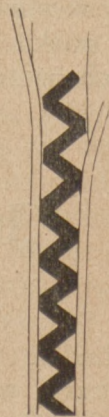


Figura 9 b.

następnie papierem podług gustu. Potem wziąć sześć kolorowych sznureczków, nawlec na dolnych końcach po perełce i przeciągnąć sznureczek w każdym ze sześciu zagięć ampułki, górne części sznurków złączyć i znowu razem przeciągnąć przez większą perłę — a poniżej przymocować frendzlą z papieru fig. 7 b w ten sposób, jak fig. 7 c wska-

fig. 8 a a następnie tak samo ciąć jak w fig. 2 było opisane. Potem ostrożnie rozłożywszy papier, włożyć do środka jabłko a będzie siatka. Jako przykrycie używa się wyciętej z kartonu ozdoby fig. 8 b, której wycięcia w ten sposób się wykonuje, że się okrągły kawałek kolorowego papieru trzy razy zwija i te części wycina, które na figurze 8 c są

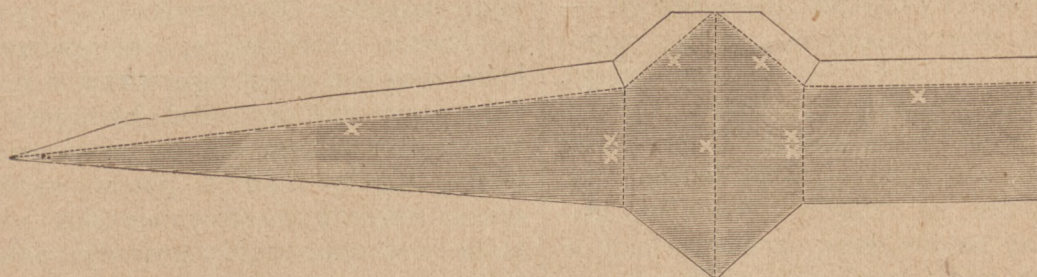


Figura 10a.

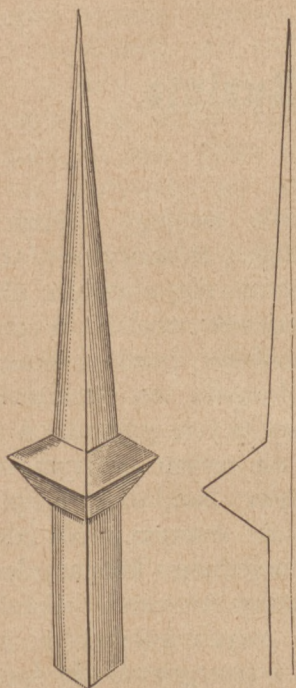


Figura 10.

Fig. 10b.



Figura 11a.



Figura 11b.



Fig. 11c.

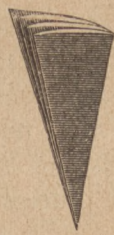


Fig. 11d.



Fig. 11e.



Figura 11f.

zuje. U spodu koszyczka można jeszcze kilka pereł umieścić i brzeg ozdobić znowu frendzlą. Dno można więcej dowolnie ozdobić, i dodać kokardę ze wstążki.

Drugi rodzaj siatki jest następujący. Widać go na fig. 8. Kwadratowy kawałek papieru przeciąć trzy razy i obciąć górną część jak na rycinie

nacieniowane; następnie nalepia się ten papier wycięty na karton fig. 8 b. Znajdujące się u góry siatki guziki oznaczone we fig. 8 a literą A przeciągają się przez dziurki u przykrycia z kartonu fig. 8 b, przez co się jedno z drugim trzyma. Dodać należy wieszadło z drutu ozdobionego wstążką fig. 8. Inny rodzaj koszyczka pokazuje figura

9. Robi się tak: Złożyć kawałek kolorowego papieru szerokości 11 cm. a 8 cm. długości (fig. 9a) i ciąć jak fig. 9a wskazuje, potem rozłożyć papier, skleić obydwa końce razem a powstanie fig. 9. Do górnej i dolnej części koszyczka przylepić kolorowy brzeg (fig. 9b) i na koniec przykleić rączkę. Chcąc uczynić koszyczek mocniejszym, można włożyć 6½ cm. szeroki pasek papieru do środka i przylepić go u brzegu — a gdy dno dodamy — będzie odpowiednim do cukierków lub czego innego.

Małe piramidy przedstawia fig. 10. Robi je się w ten sposób: Cztery paski wycięte z niezbyt twardego kartonu złożyć jeden na drugim. Następnie kładzie się na nie wzór, przedstawiony w figurze 10a i wycina się podług niego.

Tam gdzie w figurze 10a jednym krzyżkiem naznaczone linie się znajdują, należy z wierzchu karton lekko naciąć; tam zaś, gdzie dwa krzyżyki są, nacina się karton z odwrotnej strony. Następnie zagina się miejsca nacięte, jak na figurze 10b widać, dopasowuje do siebie i zlepia. Białe miejsca na figurze 10a są przeznaczone do zlepienia szczytu. Nakonie można oblepić całą piramidę papierem kolorowym.

Bardzo ulubione są też gwiazdy, które wyrabiać mogą figury 11a, b, c, d. Gdy papier złożony został, jak figura d wskazuje, naznacza się na niem wzór podług figury 11e a potem wycina czarne miejsca i otrzymuje fig. 11f, która czwartą część gwiazdy pokazuje.

O księciu Dymitrze i o Hryciu Rusinie.

(Dokończenie.)

Uradował się książę z tej odpowiedzi poczciwego Hrycia i do dwóch czapek pieniędzy dodał jeszcze jedną, i rzekł: poślę na wykup twego przyjaciela tyle, wiele będzie potrzeba, a co z tych pieniędzy zostanie, to zachowam dla ciebie na stare lata.

Jakoż w rzeczy samej książę wysłał zaraz z okupem jednego z dworzan swoich do Krymu gdzie Tatarzy mieli swoją stolicę Bakczysaraj, i za dwa miesiące niecałe przyjaciel Hrycia już był u swoich starych rodziców i pracował na nich.

Tymczasem książę pracując niezmordowanie dla dobra kraju, musiał często wyjeżdżać z zamku; ale zostawiał zawsze Hrycia i był już o dom swój spokojny. Wszyscy dworscy słuchać go musieli, bo tak wyraźnie książę rozkazał.

Pod troskliwym i czujnym okiem Hrycia dobrze się w zamku działo. Mała Praksia wyrastała na ładniuchne, poczciwe, kochane przez wszystkich dziewczę, i szczerze przywiązała się do

Hrycia wybawiciela swojego. Hrycio też najwięcej myślał i troszczył się, aby panience na niczem nie zbywało, aby podostatkiem rozrywek miała. Więc i śpiewywał jej ukraińskie dumki i skoczne wygrywał kołomyjki na teorbanie. Jeszcze za lat dziecięcych grywał on w swoich stronach na owym prostym instrumencie, zwanym bańdurką a powszechnie na Rusi znanym. Na deszczułce, węższej u jednego końca, gdzie są kołeczki idą struny włosiane niekiedy od podstawki do owych kołeczków; na nich on brzdąkał i przygrywał do śpiewu. Teraz w zamku sprawił sobie teorban piękny, instrument już dęty i donośniejszy, na którym umiał biegle brzdąkać; ale gdy przytem zaśpiewał, to tylko słuchać i słuchać, tak śliczną umiał z teorbana wydobywać muzykę, że aż duszę coś porywało daleko, przez stępy rozległe ku góróm wyniosłym. To znowu dla Praksi zrywał i znosił najpiękniejsze kwiaty z ogrodów zamkowych lub łąk zielonych. Dla niej chodził po młode sokoły w lasy i wy-

uczył je łowić dzikie ptastwo i dla niej wychował sarenkę, którą przyzwyczaił jadać z jej ręki, chodzić z nią po polkach, po ogrodach i po polach.

Kiedy Hryć przybył na zamek, miał dopiero ośmnasty rok, a dziś doszedł już lat dwudziestu ośmiu. Praksia zaś piętnasty rok skończyła. Była najpiękniejszą na całą okolicę; jako gwiazda, jako perła najdroższa Rusi. Ceniła ona serce pocziwego Hrycia; wdzięczną mu była za tyle przysług świadczonych dla niej, a kiedy go chwalono jak celnie z łuku strzela do celu lub do zwierza jakiego w lesie, to jej cudna twarzyczka, pełna życia i wdzięku, płonęła jakby róża stulistna. Każdego roku, kiedy obchodziła pamiątkę swego ocalenia z niewoli cygańskiej, składała przed Hryciem jakiś podarek — to pas złotolity, własną rączką wyszywany, to piękny nóż myśliwski ze srebrzystą pochwą, lub piękny kołczan do strzał. Hryć całował jej wtedy rączkę ze łzami w oczach, a ona żywo kraśniała na licu i tak upływały jej najpiękniejsze lata w życiu.

Wielu już bogatych paniczów koło niej kręciło się i starało o jej rękę; ale ona, choć zawsze zamyślona a jednak uprzejma, nie przyjmowała sercem ich oświadczeń; z czego jej rodzice martwili się niemało. Bogu tylko wiadomo, co się tam odezwało w sercu Hrycia i księżniczki; to tylko pewna, że ona rada była patrzeć na niego, a on przy niej stawał się bardzo nieśmiałym. I choć wiele dziewcząt z okolicy mile patrzyło w jego oczy, on do żadnej nie uśmiechnął się nawet. A było też na kogo patrzeć, gdy kto choć raz zobaczył Hrycia; mężczyzna piękny, wybujały by sosna, przytem gładki w obejściu się, a nawet nie głupi, bo czytać i pisać dobrze wyuczył się na zamku i książek dobrych naczytał się wiele, każdego mógł zająć, kto go bliżej poznał.

W tym czasie do księcia na zamek przyjeżdżali często posłańcy z ważnymi sprawami; znać, coś się tajemnie układało, bo księżę kazał zebrać wojsko

swoje na zamek ze wszystkich dóbr swoich, i nowy zaciąg świeżego żołnierza uczynił. Wojska tego odbywał częste przeglądy, uczył je szyku bojowego, a nowe szeregi wyuczone musztry uzbroić kazał.

Raz nad wieczorem, było to w końcu Sierpnia, Hryć jakoś smutny wziął w rękę teorban i wyszedł z zamku nad rzekę. Tam pod wierzbami nastroił struny i zaczął sobie przygrywać, śpiewając tak od niechcenia tę ukraińską dumkę:

»Pidmowylbym*) kamiń, kamiń,
Pidmowylbym wodu,
Lysz**) ne možu pidmowyty
Dziewczyny mołcdu.«

»Pidmowylbym każe kamiń,
Murawu z wodaju,
Lysz ne možu pidmowyty
Dziewczyn z soboju.«

Chciał jeszcze dalej śpiewać, kiedy nagle zobaczył za sobą stojącą księżniczkę, która ze służącą swoją wyszła na przechadzkę po nad rzekę i przysłuchiwała się jego pieśni.

— Ty śpiewasz Hryciu! — rzekła — a mnie smutno... Oto, ojciec mój znowu się wybiera na wojnę i to aż na Wołoszczyznę.

— Wiem, wiem księżniczko! — odpowiedział Hryć powstając — to też śpiew mój z żalu a nie z uciechy pochodził, bo ta wojna będzie nie z rozkazu króla naszego, ani też z przyzwolenia sejmu.

— Mój Hryciu, na każdej wojnie zginąć można... kula nie wybiera... Ale powróć na zamek, bo mój ojciec cię szuka.

Poszedł więc Hryć do zamku i kiedy mu książę przed wyjazdem oddawał zamek i rodzinę pod opiekę, on się odezwał:

— Miłościwy książę, dobrodzieju mój! pozwólcie mi powiedzieć, co ja myślę... Mnie się zdaje, że tę wojnę drogo przyjdzie opłacić, bo Wołoszyn zawsze zdradliwy, a jak słyhać, dużo tam już wojska teraz mają.

*) Pidmowylbym po rusku znaczy: namówiłbym.

**) Lysz znaczy: tylko.

— Zapomniałeś Hryciu! — rzekł książę — że dobry Polak i prawdziwy rycerz nie liczy nigdy nieprzyjaciela. Biliśmy zawsze prawie wroga kilkakroć liczniejszego, to i teraz przy pomocy Bożej nie powtórzy się już bukowińska klęska.*) Bądźcie dobrej myśli; jadę zawojować kraj wołoski dla siebie; ma ją zabrać Turek, to lepiej że się w ręce chrześcijańskie dostanie. A jak mi szczęśliwie się uda ta wojenna potrzeba, to i ty będziesz panem i dostaniesz kilka wsi odemnie w zdobytym kraju.

— Nie o to mi chodzi, miłościwy książę, — rzekł Hryc — ale o to raczej, że ta wojna rozgniewa króla i kraj cały, boć bez jego wiedzy będzie prowadzoną. A gdzie interes osobisty stawia się wyżej nad pożytek ojczyzny, tam daruj miłościwy panie mej otwartości... nie może być błogosławieństwa Bożego. Ja przecież nie lękam się kuli; ale na wspomnienie tej wojny serce mi się ściska gwałtownie.

— Nie przesadzaj swych obaw, mój Hryciu, — odpowiedział książę Dymitr łagodnie — ale raczej rozważ to sobie, że i dla kraju spłynie ztąd korzyść niemała, gdyż jedna ściana jego granic będzie bezpieczną przez zawojowanie Wołoszy. A zresztą — dodał — będzie ojczyzna nasza więcej miała wojska na swoje usługi, gdy ja szeregi swoje powiększę z ludu zawojowanego. Dałem już przykłady, i dam jeszcze nowe dowody poświęcenia mego życia i moich wojaków, gdy Polska o nie zawoła.

— Kiedy już tak ma być konieczne, jak sobie miłościwy książę zamierzył — wtrącił jeszcze wciąż smutny Hryc, — to i ja proszę zabrać mnie z sobą. I jeszcze proszę na rany boskie waszą książęcą mość, nie bierzcież swego syna Jeremka, bo jakbyśmy wszyscy zginęli, to któżby tu pocieszał księżną panią i księżniczkę Praksię?

*) Na początku XVI stulecia wojsko polskie wysłane do Wołoszczyzny przez króla Jana Albrechta czyli Olbrachta jak u nas mówiono, w lasach bukowińskich przynięcione w pochodzie zdradliwie podciętemi drzewami prawie do szczytu zginęło. Ztąd przysłowie: »Za króla Olbrachta wyginęła szlachta.«

Książę Dymitr zawsze rad słuchał wiernego Hrycia; przystał więc na to i syna zostawił, a Hrycia z sobą zabrał. Dał mu nowy kozaka ukraińskiego ubiór, to jest kurtkę spinaną na haftki, na to lekki żupan z rozciętymi rękawami czyli wylotami, ciemny kołpak na głowę ze zwieszonym od wierzchu sukniem czerwonym, spodnie w buty z ostrogami, a do boku piękną szablę, którą dawniej sam książę zdobył na bogatym turczynie. I oto za kilka dni piętnaście tysięcy dzielnego wojska nadwornego księcia Dymitra Wiśniowieckiego wyruszyło na wojnę, a Hryc przy boku księcia ze świtą, do wyborowego oddziału należał.

III.

Co się stało z księciem Dymitrem i Hryciem na Wołoszczyźnie?

Jeden z nich ginie w niewoli.

Zatrąbiły mosiężne surmy przed zamkiem; dwanaście tysięcy jazdy i trzy tysiące piechoty z kilkunastu armatami, pod dowództwem księcia Dymitra pociągnęło ku południowi na zwojowanie Wołoszczyzny. Książę w złoconej zbroi, na dzielnym koniu prawdziwej rasy polskiej prowadził swoje hufce, i zawczasu umawiał się ze swymi generałami, które miasto na Wołoszczyźnie miał obrać za stolicę dla siebie. Łapał on ryby przed siecią; bo patrzmy, co się na Wołoszczyźnie stało?

Panował tam wówczas gospodar Tomża; panujących bowiem na Wołoszczyźnie gospodarami zwano. Tego Tomżę wspierali Turcy i dla tego dowiedziawszy się, że książę Wiśniowiecki na zawojowanie jego krainy ciągnie, wysłali mu na pomoc kilkadziesiąt tysięcy wojska.

Książę Dymitr był nieprzezorny, bo zamiast ostrożnie postępować w nieznanym sobie kraju, jechał tak nieopatrznie i bez uwagi, jakby po swoich dobrach i nikogo na zwiady nie posłał. Kiedy już przeszedł rzekę Seret, która wpada do Dunaju, rozkazał jeszcze przed nocą stanąć obozem, bo wojsko okropnie było zmęczone drogą po nie-

zmiernych stepach. Nie domyślając się, że blisko wojsko wołoskie i tureckie w lasach się rozłożyło, zwołał starszyznę do swojego namiotu, długo w noc banbietował z niemi, zamiast obóz objechać i dojrzeć, czy czaty są należycie dokoła rozstawione. Zasnął potem bezpiecznie, a z nim zasnęły i znużone szeregi.

Ale Turcy i Wołosi czuwali; posłali oni najprzód cichaczem z lasów podjazdy pod obóz polski, i przekonali się, że wszyscy śpią jak zarżnięci; nie domyślali się znać, że tak blisko wróg czuwa.

Wtedy razem Turcy z Wołoszą wyszli z lasów i w kilkadziesiąt tysięcy z okropnym wrzaskiem wpadli na obóz Polaków. Zrobiło się wielkie zamieszanie; nie każdy zdążył pochwycić za broń, a Turcy i Wołosi gospodarowali w obozie w najlepsze. Wprawdzie książę Dymitr pierwszy się zerwał na nogi wraz ze swoim nieodstępny Hryciem i wołał: do broni! do broni! do szeregów! Bił się potem zapamiętale, rozpaczliwie. Już dużo nieprzyjaciół padło od jego miecza; ale gdy naraz stu Wołochów wpadło na niego i otoczyło go zewsząd, i gdy nareszcie miecz pękł w jego dłoni, dostał się żywcem do niewoli. Hryć bronił długo swojego pana i także kilkanaście łbów zmiotł z karków nieprzyjacielskich; ale w końcu raniony w rękę i głowę padł na ziemię omdlały. Połowa wojska polskiego w tę noc straszliwą zginęła; dużo wzięto do niewoli; ledwo parę tysięcy wróciło na Ruś do Polski, aby na zamek Wiśniowiecki ponieść straszną nowinę o klęsce krwawej i o tem, że sam książę Dymitr dostał się do niewoli, i że Hryć zginął, bo go widziano jak padł bezwładny.

Rozpacz okropna zapanowała na zamku wszyscy poddani żalowali księcia, Hrycia i tylu dzielnych wojaków. Praksia zamknęła się w swoim pokoju, na świat boży nie wyjrzała długo i często ją widywano zanoszącą się od płaczu i klęczącą przed obrazem Bogarodzicy oświeconym niegasnącą nigdy lampą. Co księżna cierpiała, to trudno opisać.

Tymczasem, na pocieszenie czytelnika powiemy, że Hryć nie zginął; był tylko mocno raniony; przyszedł wkrótce do przytomności i wraz z księciem Dymitrem został odesłany sułtanowi tureckiemu do Konstantynopola czyli jak wówczas powszechnie mówiono, do Carogrodu.

W twierdzy Jedykule Turcy osadzili księcia z Wiśniowca i jego dworzanina Hrycia. Sułtan niezmiernie się ucieszył zdobyczą jeńców; nieraz on już ostrzył zęby na księcia za to, że mu dawniej często i dobrze za skórę założył.

* * *

W ciemnym lochu za kratami, na zgnitym barłogu leży książę i gardzi mękami niewoli i przysięga zemścić się kiedyś na Turku, gdy surmy polskie znowu zagrają na stepach, a dzielni jego wojacy nowi, śpiewając dumy wojenne, popędzą na wroga. Lecz dziś stepem dla niego czarne mury, dumkami jęki gniewne, a drużyną wojenną wierny Hryć jego.

Upłynęło tak parę miesięcy. Księżna z Wiśniowca przysłała bogaty okup Turkom, aby męża puścili na wolność; ale oni, bisurmani, przyjąwszy złoto oświadczyli, że za złoto im przysłane tylko Hrycia i innych wypuszczą, a książę zginąć musi.

Książę dowiedziawszy się o tem, rzekł do Hrycia:

— Hej Hryciu! ty tęsknisz, ty nic tu już nie wskórasz; już i ja z tobą nie wytropię więcej wroga na stepie, ani zatopię w Dnieprze bisurmańskie okręty. Dość mi już dałeś dowodów wierności i przywiązania, dość już dzieliłeś ze mną lichą dolę, wróć Hryciu na Podolską ziemię, na Ruś naszą kochaną. Pokłoń się tam drogiej żonie mojej i kochanym dzieciom moim, uściśnij i pozdrów ich odemnie. Niech Bóg ma ich w swojej opiece, a syn mój Jeremko jak dorośnie, niech się pomści srogo śmierci mojej.

Hryć wysłuchawszy z uszanowaniem tej ostatniej woli księcia, nie mógł się uspokoić i pogodzić z tą myślą, że on

będzie wolny i do ojczyzny powróci, podczas gdy pan jego dobry na taką sromotę i zgubę swoją w niewoli ma zostać sam jeden, nawet przez niego opuszczony. Więc w boleści swej i rozrzewnieniu serdecznem temi słowy odpowiedział księciu:

— Kiedy łowiec w wilczej jamie, gdy mu łuk pryśnie w kawałki, to sokół wierny siada mu na ramieniu, a wierna strzala się nie ruszy z kołczanu. Więc książę mój najdroższy! jam ci strzala, ja sokołem, nie powrócę, cierpmy wspólnie niedolę.

Po chwili z wielkim hukiem i trzaskiem spadają rygle: otwierają się ciężkie drzwi żelazne więzienia, wchodzi nadęty pychą sułtan i w swej niepojętej łaskawości tak się łagodnie odzywa:

— Słuchaj, książę Dymitrze! dam ci córkę, jasną jak dzień; dam ci skarbowów bez liczby, tylko porzuć tę wiarę i te jakieś dziwne nauki wasze, które są fałszywe i obrażają prawdziwego Allacha*) i jego prawdziwego proroka, którym jest Mahomet. Zostań więc prawowiernym muzułmanim.

— Zaprawdę! — z uroczystą powagą odpowiedział książę — piękna jest córa i skarb bogaty; ale twoja wiara ani Bogu, ani ludziom, ale tylko djabłu jest przydatna!

Rozgniewany do wściekłości sułtan zaledwie odpowiedzi dosłuchał i wykrzyknął:

— Ha! Lachu! psie niewierny! bę-

*) *Allach* po turecku *Boga* oznacza.

dziesz ty inaczej śpiewał. — A odwracając się do swych siepaczy, co stali za drzwiami, dodał:

— Weźcie go, weźcie! powiesić lacha za żebro.

Natychmiast porwano księcia, zaprowadzono nad Czarne morze i tam powieszono go za żebro na haku, który tkwił u wieży. Tym dzikim zwyczajem karali często Turcy swych niewolników lub opornych poddanych.

Mówi pieśń, że książę Dymitr zdołał jeszcze od wiernego sługi otrzymać łuk i trzy strzały, jedną strzałą ugodził sułtana w samo ciemię, drugą przeszył sułtanowę w samo brzemię, a trzecią strzałą przeszył sułtankę w samo serce.

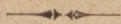
Hryć tymczasem przeszedł Turcyę swobodnie, bo miał przy sobie glejt, czyli kartę bezpieczeństwa, którą mu sułtan zaraz wydać kazał, jak tylko okup przynieśli.

Kiedy wrócił po dniach wielu na zamek w Wiśniowcu, nie zastał już Praksi; przywdziała ona sukienkę zakonną i już od kilku tygodni była zakonnicą we Lwowie. Któż to wie, co skłoniło księżniczkę do wstąpienia w mury klasztorne: czy śmierć ojca, czy wiadomość, że Hryć na wojnie zginął, albo też oba te nieszczęścia razem zawiody ją do zakonu? Dość, że wyrzekła się na zawsze świata i jego uciech żyjąc tylko na użytek bliźnich i chwałę Bożą.

Taka jest powieść o księciu Dymitrze Wiśniowieckim, o Praksi i o Hryciu rusinie.



NAJNOWSZE WYPRAWY DO BIEGUNA PÓLNOCNEGO.



(Ciąg dalszy.)

Nareszcie upragnione słońce ukazało się w dniu 3-go Lutego; z nadejściem dnia rozpoczęły się wycieczki do wewnątrz wyspy; przy końcu Marca Koldewey z Payerem i sześcioma marynarzami dotarli aż do przylądka Arendta,

na wybrzeżach Grenlandyi, położonego pod 76 stopni szer. północnej. W miarę tego, jak posuwano się ku północy, lodowce nadbrzeżne stawały się coraz potężniejszymi; dalej nieco wyprawa dosięgła wysp Oryentowania się i wdarła

się na wysoką górę, która wznosi się na jednej z nich.

Gnani żądzą nowych odkryć, podróżni, nie bacząc na napotymane przeszkody, posuwali się ciągle ku północy; przypuszczali, iż uda im się nareszcie dosięgnąć żeglownego morza. Nadzieje te jednakże okazały się płonnemi; wszędzie, aż do granic dalekiego horyzontu, ocean był zakuty w pancierz prastarych lodów; poszarpane wybrzeża Grenlandyi ciągnęły się aż do nieskończoności w północnym kierunku. Podróżni musieli się więc zrzec zamiaru dotarcia aż do punktu, w którym ląd ten zagina się ku zachodowi. Pod 77° i stopień szer. półn. a $18^{\circ} 55$ stopni długości zachodniej od Greenwich, dokąd udało się dotrzeć wyprawie po wielu trudach, usypiano kopiec kamienny, w którym złożono krótki opis dokonanych odkryć, poczem w dniu 15-go Kwietnia 1870 roku ruszono z powrotem do okrętu. Zbadane wybrzeża Grenlandyi otrzymały nazwę Ziemi króla Wilhelma.

W początkach Maja wyprawiono się na południe do przylądka Franklina, w pobliżu którego odkryto nieznany, głęboki fiord cesarza Franciszka Józefa. Przekonawszy się, iż wązka ta zatoka była dostępną dla okrętu, wyprawa zbadała ją na dość znacznej przestrzeni i przeniknęła w głąb tajemniczego lądu Grenlandyi.

Dokonawszy wymienionych odkryć, »Germania« pożegłowała do Europy i w dniu 17-go Września 1870 roku powróciła do Bremenhaven po 453 dniach nieobecności.

Jakkolwiek zdobycze, osiągnięte w tej podróży, nie były bardzo ważnemi dla geografii, to jednakże nie można odmówić im pewnego znaczenia.

Niemcom nie udało się, jak widzieliśmy, dotrzeć do bieguna północnego wzdłuż wybrzeży wschodnich Grenlandyi, dla tego też Amerykanie, przygotowawszy w Nowym Yorku do podróży podbiegunowej statek »Polaris«, skierowali go przez cieśninę Smith'a. Dowódcą tej nowej wyprawy był Karol Franciszek Hall.

»Polaris« wypłynął z Nowego Yorku w końcu Czerwca 1871 roku, szybko dosięgnął cieśniny Smith'a, zkąd bez wielkiego trudu dotarł do portu Reusselaer, gdzie zimował ze swym okrętem Kane. Od tego miejsca żegluga stała się uciążliwą.

Przebijano się jednakże z wysiłkiem przez wielkie masy lodowców i w dniu 29-go Sierpnia »Polaris« znalazł się w pobliżu ziemi Grinnella. W tych okolicach panowały wówczas częste i bardzo gęste mgły, które zmusiły żeglarzy zawinąć do wybrzeży wielkiego pola lodowego; skoro horyzont się rozjaśnił, pożegłowano dalej wzdłuż prostopadłych skalistych wybrzeży nieznanego lądu, wewnątrz którego wdzierała się wielka zatoka.

Przeplłynawszy kanał, który otrzymał nazwę Robeson, »Polaris« dosięgnął $82^{\circ} 26$ stopni szerokości północnej, t. j. dokąd żaden inny statek przedtem nie dopłynął.

Ponieważ okręt był bardzo skołatany, przeto musiano pomyśleć o obraniu miejsca na zimowe leże. Znalezione przytułek w wygodnej zatoce pod $81^{\circ} 36$ stopni szerokości północnej.

Wkrótce potem Hall przedsięwziął wycieczkę, celem dosięgnięcia »Morza polarnego«; nie udało mu się jednak dokonać tego planu z powodu przeszkód, jakie napotkał na drodze. Wracając do okrętu, energiczny podróżnik zachorował i w dniu 7-go Listopada ku wielkiemu żalowi towarzyszyów, umarł na pokładzie »Polarisu«.

Śmierć dowódcy wpłynęła ujemnie na dalsze badania.

Wprawdzie przedsiębrano kilka wycieczek na południe i na północ, ale te nie przyniosły godnych uwagi rezultatów.

W dniu 12-go Sierpnia roku następnego »Polaris«, opuściwszy zatokę, pożegłował na południe; w dwa tygodnie potem został tak mocno naciśniętym przez lody, iż załoga, przewidując katastrofę, szukała ocalenia na wielkiej krze. Niebawem spostrzeżono, iż do wnętrza kadłuba wdziera się woda; po-

łowa załogi stanęła przy pompach, druga zaś, złożona z 19 ludzi, zajęła się ładowaniem wyratowanych zapasów na czółno. Nagle zerwały się liny, które mi statek był przymocowany do pola lodowego; uwolniony w ten sposób »Polaris« zaczął się gwałtownie oddalać od kry, na której, oprócz wspomnianych marynarzy, znajdowała się większa część prowiantu i wszystkie łodzie. Zawieja śniegowa niebawem ustała i na niebie

ukazał się księżyc, przy świetle którego spostrzeżono z pokładu nieszczęsnych majtków, przesyłających ostatnie pożegnania okrętowi.

Po tym strasznym wypadku niebo znowu zaciągnęło się chmurami i kra unosząca rozbitków zniknęła w ciemnościach. »Polaris«, szarpány orkanem, pędził na otaczające go zewsząd góry lodowe.

(Ciąg dalszy nastąpi).



* **Nadzorca więzień:** Co chamiak, to znowu tu? A to z ciebie niepoprawny zbrodniarz. Czy nie możesz przestać już raz kraść, wszak i tak cię sawsze schwytają?!
Więzień: O przepraszam, wcale nie zawsze.

* **Gość:** Hej! kelner, a cóż to za piwo, całkiem mętne?

Kelner: O przepraszam pana, piwo jest czyste jak ła, tylko szklanka brudna.

* **Zatwardziały.** Przestałbyś pić, każdy kieliszek to gwóźdz do trumny!

— Mnie to tam jedno, choćby nawet moja trumna miała kiedyś wyglądać jak jeź.

* **Profesor:** Uważam, że to zapytanie wprawia cię w kłopot.

Student: E, zapytanie bynajmniej, tylko odpowiedź, panie profesorze.

* **A czemu** to mieszcuchy zawsze noszą rękawiczki?

Wojciech: No czemu? Bo mają brudne ręce.



1. Janek: Głupi, czemu [koło] prowadzisz. Urządźmy sobie wycyped.



2. Franek: Czemu nie; siadaj na drugi koniec, i jazda —



3. — w rów.

ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI.

Bytom G.-Ś., 9-go Grudnia 1897.

Nr. 49.

„Światło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi 1 markę = 75 centów. — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Ślązku (Beuthen O.-S.)

Ogłoszenia przyjmują się za opłatą 15 fen. od 3-lamowego wiersza drobnym drukiem.

Salezyanie w Turynie.

Dziwne to dzieło ci Salezyanie! I w swem powstaniu, i w swym rozroście nosi ich Zgromadzenie tę cechę charakterystyczną, jaka w historii znamionowała zawsze instytucje, powołane do życia nie ludzką rachubą i przemyślem, ale wyższem działaniem Opatrzności. Kiedy Don Bosko z 40 centami w kasie rozpoczynał w Turynie budowę wspólnego kościoła Wspomożenia Wiernych, uważano go za człowieka o zwichniętych władzach umysłowych; dziś potężnie rozwijająca się jego rodzina duchowna i doniosłe jej dzieła budzą podziw i szczerzy zachwyt.

Od Stycznia b. r. wychodzi w Turynie pod redakcją członków Zgromadzenia i w jego własnej drukarni miesięcznik polski p. t. »Wiadomości salezyańskie,« przeznaczony w pierwszym rzędzie dla t. zw. Pomocników salezyańskich narodowości polskiej, którym się go wysyła bezpłatnie. Miesięczniki tego rodzaju wychodziły już dawniej w języku włoskim, francuskim, hiszpańskim, angielskim i niemieckim. Niektóre artykuły, obchodzące w równym stopniu wszystkich Pomocników salezyańskich, bez względu na ich narodowość, umieszczane są we wszystkich wydawnictwach, inne, bardziej specjalne, pisze się dla każdej narodowości z osobna. Polski miesięcznik redagowany jest z wielką szczerością i ciepłem; odsłania on niejeden rys interesujący z życia i prac Zgromadzenia, a nadto zawiera parę wiadomości, szczególnie miłych dla polskiego czytelnika.

Zgromadzenie liczy dziś blisko 2 tysiące członków, posiada około 400 różnorodnych zakładów i wychowuje do 300,000 młodzieży! Don Bosko za życia swego dostarczył Kościołowi przeszło 6000 kapłanów, wykształcił setki

tysięcy młodzieży, założył w Europie i Ameryce około 250 zakładów i stacji misyjnych, zyskał dla swych dzieł blisko 100,000 Pomocników, czyli zelatorów, wybudował wiele kościołów i kaplic, a przez swych misjonarzy w Patagonii i Ziemi Ognistej ochrzcił do 20 tysięcy pogan!

Ostatnim nowicyuszem, którego Don Bosko obłócił w duchowną sukienkę, był Polak, jakoby opatrznościową wskazówką licznego udziału naszej narodowości w rozwoju dzieł salezyańskich. Bardzo ciekawe są dzieje żywiołu polskiego w łonie Zgromadzenia. Zrazu wstępuje doń kilkudziesięciu Polaków, tak mało odpowiadających zadaniu i powołaniu, że wnet znikają oni z szeregów salezyańskich, a Przełożeni w mniemaniu, że to materyał kruchy, nieradzi się nowym z Polski przybyzszom. Ofiara życia X. Augusta Czartoryskiego zmienia postać rzeczy, okupuje wiele, uzyskuje więcej. Ze śmiercią szlachetnego młodzieńca z krwi książęcej zaczyna się okres nowy dla polskiej narodowości w salezyańskiej drużynie. Mnożą się powołania, nastaje przyływ tak liczny z przeróżnych dzielnic kraju naszego, iż w sprawozdaniu za rok 1896 ks. Michała Rua, następcy ks. Bosko, znajdujemy osobne wezwanie do składek i jałmużn, osobne ubolewanie nad brakiem środków, nie pozwalającym uwzględnić wszystkich prośb, nadsyłanych o przyjęcie mianowicie z Polski.

Uwzględniając ów przyływ nieustający polskich kandydatów, Salezyanie otworzyli w Lombriasco pod Turynem osobne kolegium dla młodzieży narodowości polskiej. Kolegium to przybrało nazwę św. Joachima na cześć Papieża, nieszczędnego mu błogosławieństw i zachęty. Powstało ono pod dwustronnym naciskiem: raz rosnących zastępów, przybywających z Polski, powtóre skutkiem dochodzących

wciąż z różnych stron Ameryki prośb bardzo usilnych o przysłanie kapłanów Polaków dla duchownej posługi wśród biedy polskiej, przerzuconej za morza. Ogólna potrzeba misjonarzy dla krajów pogańskich niemało się też przyczyniła do chętnego przyjmowania coraz liczniejszych polskich nowicyuszów. Tym sposobem wyrównany może zostanie pewien historyczny niedostatek, który zaciężył nad naszą przeszłością. Brak polskich apostołów już nas obecnie zamućać nie powinien: pogrobowy to kwiat wiary i miłości, wyrosły na mogile ojczyściej, aby zasługą i ofiarą dopraszać się zmartwychwstania. Raz po raz wypływają polscy wysłańcy ewangeliczni na obce wybrzeża. Gdy przed laty kilkunastu zabiegli do cieśniny Magelańskiej polscy podróżnicy, zdumieli się, słysząc, iż tam polski Reformator, Ojciec Matulski, pracuje w winnicy Pańskiej. Dziś osada salezyjańska rozszerza zagony oświaty chrześcijańskiej; w Punta Arenas śliczny buduje się kościół a dwie stacje misyjne, założone po obu stronach cieśniny Magelańskiej, tak w Patagonii jak w ziemi Ognistej, obsługiwane są przeważnie przez Polaków ze Ślązka czy Królestwa pochodzących. Wszystkie bowiem trzy zabory dostarczają dziś pracowników salezyjańskim dziełom, choć Śląsk i tu przoduje dzielnością obfotnością powołań.

Między artykułami wiadomości sportykamy dwie rzeczy znane już skądinąd tj. referaty z przedostatniego galicyjskiego wiecu katolickiego: X. Bronisława Markiewicza „o Salezyjanach“ i ks. Marcina Czerwińskiego T. J. „o duchownych potrzebach polskich wychodźców.“ Nie wspominalibyśmy o tem, gdyby nie ciekawy i rzewny przypisek, który maluje nam wielkie wrażenie, jakie ostatni z tych referatów, wspólnie odczytywanych, w jeden z zimowych wieczorów 1894 roku wywarł na grono młodych polskich Salezyjanów, liczące wówczas w kolegium Valsalice 150 członków. Zastanawiali się nieraz ci młodzi ludzie, równie jak i ich Przełożeni, skąd i poco w ostatnich czasach do tak niebywałych rozmiarów wzrosła w ich Zgromadzeniu liczba polskich powołań. Otóż po odczytaniu wspomnianego referatu z pamiątkowej księgi wiecowej, pod wpływem jednej myśli, spojrzeli ci młodzi po sobie, a któryś z nich zawołał z uniesieniem: „Pan Bóg powołał nas tu na to, byśmy się zajęli braćmi naszymi na obczyźnie!“ Słowa te stały się odtąd ich hasłem i gwiazdą przewodnią w ich pracach. Od owego „pamię-

tnego roku“ kolegium Valsalice wydało 3 kapłanów, 100 kleryków i 20 koadjuatorów (czyli braciszków).

Hasło powyższe piękne jest, podniosłe i bardzo aktualne. Mamy jednak nadzieję, że nie jest ono w łonie Zgromadzenia pojmwane zbyt wyłącznie i jednostronnie. Nietylko dla Polaków na obczyźnie potrzebną jest praca Zgromadzenia; doniosłe pożytki może ona przynieść i w kraju. Przewodnią myślą ks. Bosko było przygarnięcie opuszczonych dzieci ludu, ażeby jednych wyczyszczyć z rzemiosła, drugim udzieliwszy odpowiedniego wykształcenia, wszystkich wychować na prawych chrześcijan i na pożytecznych obywateli kraju. Powstały tedy szkółki, warsztaty, zakłady żeńskie i męskie, nareszcie seminaria, mające na celu dostarczanie apostołów misyom zagranicznym, pracownikom opuszczonym częstokom winnicy Pańskiej. Wszystkie te zamiary i dzieła pomyslnym zostały uwieńczone skutkiem, obecne zaś ich grawitowanie ku Polsce, za pomocą przyrostu polskiego żywiołu, jest niezawodnie opatrnościowem zarządzeniem, sposobiące tamy ochronne przeciw zalewowi złego, które wiecznie próbuje nasamprzód młode zagarnąć i zatruc pokolenia. „Wiadomości salezyjańskie“ uturują drogę salezyjańskiej wśród nas działalności, wskażą nam, że niedość zakładać schroniska dla opuszczonej dziatwy, niedość je oddawać w ręce najzaciejszych i najczynniejszych jednostek, lecz utwierdzać je trzeba na granicę stowarzyszeń i reguły zakonnej, odpowiadającej wszystkim potrzebom chwili doskonałym uharmonizowaniem podwójnego przykazania: modlitwy i pracy, wiary i czynu, dźwigania sere w górę i zaprawiania rąk do szlachetnych znojów. (Ktoby chciał poznać „Wiadomości Salezyjańskie, niech napisze po numer na okaz pod adresem: „Wiadomości Salezyjańskie,“ Turin, via Cottolengo 32, Italia).

Z podań krakowskich.

Od ulicy Teatralnej w Krakowie aż do kościoła Panny Maryi są w podziemiu głębokie piwnice otwarte, tak, że nimi tę przestrzeń podziemną przejść można. Mówią, że w tych piwnicach są ukryte skarby św. Krzysztofa, których strzegą djabli. Piwnice te nazywają się Krzysztoforami.

Jedna kucharka, służąca na ulicy Teatralnej, przypadkowo poszła w pal-

mową Niedzielę podczas ewangelii po węgle do piwnicy swych państwa. I zamiast węgla przyniosła do kuchni pełny kosz złota. W piwnicy widziała węgle, a w kuchni miała złoto. Za głowę się wzięła, wysypała prędko złoto z kosza i pobiegła drugi raz, myśląc, że jeszcze nabierze złota. Ale tym razem przyniosła rzeczywiste węgle, bo już było po ewangelii, a tych skarbów tylko podczas ewangelii w palmową Niedzielę dostać można, bo djabły wtedy idą pod kościół słuchać ewangelii i zostawiają jej odkryte, bez straży. Kto z tej chwili skorzysta, do woli może nabrać pieniędzy.

»Ktoby chciał kiedy indziej dostać skarbów od Krzysztofora musi upatrzeć taki osobliwy dom, żeby był drewniany i ani jednego kamyczka (prócz fundamentów) w nim nie było, żeby był nowy, nieskończony jeszcze, żeby nikt w nim jeszcze nie mieszkał, ani nie prędko miał zamieszkać. Potem musi się postarać o książkę z sekretami św. Krzysztofora, którą tylko w jednym z krakowskich klasztorów dostać można.

Książki tej jest kilkanaście tomów, w każdym tomie są inne sekreta t. j. sposoby, jakimi wszystko na świecie, coby tylko sobie człowiek życzył, a co jedynie djabli potrafią, osiągnąć lub zrobić można. Jest tam między tymi sekretami także sposób dostania pieniędzy od Krzysztofora.

Książka ta była dawniej pod opieką św. Jana Kantego, po którym ją jeden z krakowskich klasztorów w spuściznie odziedziczył. Tam ją chowają w wielkim ukryciu, żeby się nikomu do rąk nie dostała, bo jak by ją kto czytał, a nie znał sposobu jej czytania*), toby mu djabli zaraz głowę urwali.

Ten, kto chce dostać pieniędzy od Krzysztofora, musi być przede wszystkim mężczyzną, musi się postarać o tom odnośny Sekretów, pójść z zaufaną i odważną osobą (również mężczyzną) do owego domu, tam zapaliwszy gromnicę, otworzyć na którejkolwiek stronie księgę i ją czytać... Czytać mają obydwa na głos równocześnie tak, aby wymawiali każde słowo razem, ni wcześniej, ni później, boby wszystko było na nic. Choć nie rozumieją wyrazów, nie należy się im nad nimi zastanawiać. Czytać mają, póki się nie zjawią djabli.

*) Trzeba ją czytać bardzo uważnie i ostrożnie, żeby ani się nie omylić, ani słowa nie wypuścić, ani na wrywki nie czytać tylko za porządkiem, ani też nie wzdręgnąć się albo obejrzeć po za siebie lub na bok.

Djabli przyszedłszy, zaczną im dokuczać: to ciągnąć za włosy, to skubać, to wyzywać, ale oni mają na to nie zważać, ani oka od książki oderwać, ani się obejrzeć, tylko czytać po cichu, po cichu czytać wolno im już teraz, bo w głośnym czytaniu pomylili by im zaraz djabli. Jak przetrwają tę próbę, zapytają ich djabli, czego potrzebują. Oni mają powiedzieć krótko: Pieniądzy!

— Jakich? czy złota, czy srebra, czy miedzi?

Naturalnie obaj powiedzą:

— Złota!

— Na co wam złota?

Wtedy muszą powiedzieć, że potrzebują pieniędzy na jakiś dobry cel, n. p. na postawienie kaplicy, kościoła... Natychmiast postawią przed nimi djabli dwa worki złota i znikną.

Co kto chce, to może dokazać za pomocą Sekretów Krzysztofora.

Było to przed laty, jeszcze za czasów św. Jana Kantego. Siedziało raz za karę dwóch studentów w szkole św. Anny przed południem. Przykrzyło im się, więc otworzyli sobie szafę z książkami i wzięli jedną do czytania. Z wielkim zajęciem jęli ją czytać... nagle usłyszeli głos, który jakby ich ze snu zbudził:

— Czego potrzebujecie?

Chłopcy obejrzeni się, nie zobaczyli nikogo. Myśląc, że ktoś za drzwiami z figłów ich pyta, odpowiedzieli, nie namyślając się, żartem:

— Pietruszki!

A tu się zaczęło ze wszystkich ścian sypać pietruszka, tak, że studenci ze strachu powychodzili na ławki, ale pietruszki coraz bardziej przybywało i przybywało, i byłaby ich pewnie zasypała, gdyby nie zawołali:

— Ady już będzie!

Wtedy przestało się sypać. Gdy przyszedł klucznik i otworzył klasę, by wypuścić studentów »z kozy«, można sobie wyobrazić jego zdziwienie. Koszami wynoszono później pietruszkę i sprzedawano.

Książka, którą czytali wtedy studenci, były Sekrety Krzysztofora.

Powiadają, że jakby nieprzyjaciół zdobył Kraków, to za pomocą Sekretów Krzysztofora możnaby tak zrobić, żeby się miasto całe z nim zapadło w ziemię.«



Rozmaitości.

* **Ciekawe odkrycie** zrobiono niedawno w Anglii, w miejscowości Danesdale. Odkopano grób, sięgający tysiąca lat przed najściem Rzymian. Znalezione w nim kości pierwotnego Brytona, a obok nich obręcz żelazną od koła, szczątki uprzęży na konia i szpilkę brązową ładnego rysunku, emaliowaną. Było też tam także lustro żelazne, oprawne w brąz, koniec biczyska również brązowy i kilka kółek z tegoż metalu, przez które przewlekano lejce. Wszystkie te szczątki zostaną złożone w muzeum w Yorku. W Driffield zaś wykopano szpilkę, przedstawiającą nieznaną dotąd formę koła od wojennych wozów brytańskich.

* **Osuszenie zatoki Zuydersee.** Holendrzy powzięli plan wspaniały: osuszenia Zuydersee, czyli południowej zatoki morza Północnego. Nie jest to pierwsze przedsięwzięcie tego rodzaju, bo w r. 1840 Holendrzy osuszyli t. zw. morze Harlemskie. Plan obecny jest jeszcze większy i poważniejszy, gdyż chodzi tu o wydarzenie morzu 2188 kilometrów kwadratowych, a więc powiększenie o tyleż kilometrów przestrzeni uprawnej. Zuydersee było

niegdyś wielkim jeziorem, nazywanym przez Rzymian Flevo. Dopiero w XIII stuleciu wody oceanu rozerwały północnozachodni brzeg jeziora. Wartość ziemi, pozyskanej przez osuszenie zatoki, obliczają na miliardy, koszta zaś osuszenia nie przeniosą 232 milionów guldenów holenderskich.

* **Dla Kołowników.** Pewien lekarz berliński daje w swej broszurce dla kołowników następującą opinię: Jeździć na kole — naturalnie bez przesady — powinni ci, którzy mają skłonność do tycia, bo tym sposobem nie tylko przeszkodzą nadmiernej otyłości, ale nawet schudną. Dalej powinni używać koła ci, którzy cierpią na żołądek, ponieważ mechaniczny wpływ ruchu deptania podobnym jest masażowi brzucha. Jazda na kole dobrze oddziaływa także na rozmaite choroby nerwowe, o ile one są skutkiem zbytnej pracy umysłowej, lub braku ruchu fizycznego. Także kobietom — zwłaszcza mającym skłonność do blednicy — jazda na kole może być korzystną. Natomiast zaniechać jazdy na kole powinni ci, którzy są chorzy na serce lub płuca, i ci którzy cierpią na zapalenie, febrę, krzyż lub mózg.

ZAGADKI.

Las, nik, li, Sa, no, on, Cy, ses, Ło, mlecz, Ja, żeł, ce, U, tą, um, że, Ar, ki, na, ko, bon, I, dy, praż, Wy no, cy, gi, U, biec, Ser, bo, o, Ka, tro, me, Ig, bo, san, Za, ry, le, Os.

Znaczenie wyrazów: 1. Ulubiony dawniej napój Normandczyków. 2. Bohater z wojny trojańskiej. 3. Przydomek jednego z królów. 4. Istota pozbawiona rozumu w 6 prz. lic. poj. 5. Rzecz niezbędna do jazdy. 6. Ważny organ ludzki. 7. Wiara w nedorzecznosci. 8. Kwiatki wiosenne. 9. Miejsce spoczynku. 10. Roślina. 11. Gatunek psa. 12. Rzeka w Włoszech. 13. Część ołtarza. 14. Rodzaj jaszczurki. 15. Imię mężkie.

Początkowe i końcowe litery od góry do dołu czytane, dadzą imię i nazwisko oraz nazwę dzieła jednego z poetów.

Rozwiązanie zagadki z Nr. 46:

1.

KoS, OrinokO, NeroN, RzymianiE, AraraT, DziadY, WierzyneK, AligatoR, LamY, ErzeruM, NepoS, RzepaK, Opałiński, DzielenieE.
Konrad Walenrod — Sonety Krymskie.

2.

Hi - po - po - tam.

Dobre rozwiązanie zagadek z Nr. 46-go nadesłali p. Jan Badura z Halberstadtu i Lesia Mizerska z Poznania.

Co dopiero opuściło prasę dzieło pod tytułem:

DZIEJE ŚLĄZKA

czyli

Historia Ślązka od najdawniejszych aż do najnowszych czasów
przez *dr. Konecznego.*

Całość obejmuje 506 stron druku i 103 piękne obrazki, wykonane po części podług fotografii, po części podług rysunku Jana Matejki i Michała Pocięchy.

Cena bez oprawy 3 marki, w ładnej oprawie 4,50 mrk. z przesyłką franko.

Zamawiać można u wszystkich panów księgarzy, agentów i wprost z

Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu (Beuthen O.-S.)